NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk. — 1 Rsb. 80 kop., z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor.—16 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA. KRAKÓW, ZACISZE 7.). TEL 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura **UNGRA** w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop.

Rok III. | **Kraków, 15 grudnia 1906 r.** | **Nr. 50.**

Rewizya w Rakowie.

(Treść na stronie 4).



Treść numeru: Początek powieści Artura Gruszeckiego na tle ostatnich rozgłośnych wypadków w Królestwie Polskiem p. t „Na Wulkanie“, (z portretem autora i illustracyami.) — Pogrzeb Prymasa. — Sprawa polska wobec świata. — Gwałt pruski. — **Bandyci na śmierć skazani.** — Zbrodnicza ręka. — Bohaterka skandalu. — **Niewinnie na śmierć zasądzony.** — Po upaństwowieniu kolei Północnej. — **Warszawska Humbertowa.** — Wynalazca fototelegrafii. — Prusak turecką ekscellencyą. — Dziurawy okręt. — Sw. Mikołaj w Krakowie. — Z bruku lwowskiego. — Jubileusz pedagoga. — Dymisya admirała

Autor naszej nowej powieści.

Rozpoczynając w niniejszym numerze druk zapowiedzianej powieści Artura Gruszeckiego p. t. „Na wulkanie", uważaliśmy za stosowne poprzedzić ją portretem najnowszym autora z pobieżną wzmianką o dotychczasowej jego działalności literackiej, przekonani, że tym sposobem odgadliśmy tylko życzenie naszych Czytelników, u których znakomity ten powieściopisarz cieszy się uznaniem zasłużonem i wielką sympatyą od czasu, gdy w „Now. Ill". drukował swoich „Bojowników".

Artur Gruszecki urodził się w r. 1854. Studya uniwersyteckie odbywał we Lwowie i w Krakowie. Przeniósłszy się do Warszawy, oddał się pracy publicystycznej; należał do redakcyj różnych czasopism ówczesnych. Był redaktorem i wydawcą „Wędrowca" w najświetniejszym okresie tego pisma przy współpracownictwie A. Dygasińskiego, A. Gierymskiego, B Prusa, A. Sygietyńskiego, St. Witkiewicza, A. Zakrzewskiego i innych.

Na pole powieściopisarstwa przerzucił się około r. 1888, a pisać zaczął z planem z góry obmyślonym.

Zapragnął mianowicie zobrazować w długim cyklu powieści całą Polskę w granicach etnograficznych i jej życie dzisiejsze. Dlatego to dzieła jego tętnią taką aktualnością, że autor na gorąco chwyta temat wybitny z chwili bieżącej i opracowuje go z gruntowną znajomością rzeczy, wyswietlając wszechstronnie a w sposób zajmujący, że trzyma uwagę czytelnika na uwięzi od pierwszej do ostatniej kartki.

Oto przegląd powieści Gruszeckiego: Na Ukrainie rozgrywają się „Tuzy", „Rugiwojscy", „Na swobodzie" i „W starym dworze" — bezwątpienia najlepsza powieść tego autora. W „Opornych" zajmuje się Rusią, prowadząc Czytelnika w Lubelskie między unitów. Życie Szląska odtworzył w „Szarańczy, „Zwyciężonych" i „Pruskim huzarze", a Kaszubów w powieści pt.: „Tam, gdzie Wisła się kończy". Królestwo Polskie dostarczyło autorowi z życia różnych warstw społecznych tematu do całego szeregu wybornych książek, jak „Krety", „Hutnik", „Nawrócony", „Na wyścigach", „Szachraje", „Nowy obywatel", „S. W Gardow", „W tysiąc lat", wreszcie „Bojownicy" (z ostatnich wypadków polityczno społecznych, rzecz drukowana w „Now. Ill.", w tych dniach pojawiła się w pierwszem wydaniu książkowem na półkach księgarskich) Niejako dalszym ciągiem rozgłośnych wydarzeń najświeższych w Królestwie zajmuje się autor „Bojowników" w rozpoczętej dziś u nas powieści „Na wulkanie".

Wielkopolskę zobrazował Artur Gruszecki w powieści pt: „Nad Wartą".

Życie Galicyi znalazło niemniej świetne odzwierciedlenie w książkach pt.: „Większością" i „Dla miliona", a na krakowskich stosunkach osnuł autor swój „Słomiany ogień" tudzież „Cygarniczkę".

Powyższą krótką sylwetkę uzupełnimy jeszcze wzmianką o podróży Gruszeckiego w 1899 r. do Brazylii, dokąd wybrał się z Warszawy dla zbadania życia chłopów polskich w Paranie.



Polska sprawa wobec świata. Ks. dr. prałat Ludwik Jaździewski, długoletni poseł wielkopolski do sejmu pruskiego i parlamentu niemieckiego, sławny mówca, który świeżo poruszył w Reichstagu berlińskim sprawę gwałtów pruskich na dzieciach polskich i ich rodzicach.

Sprawa polska wobec świata.

Dyskusya polska w parlamencie niemieckim przyniosła nam ledwo moralną satysfakcyę. Ksiądz Jaździewski należy do pierwszorzędnych mówców; dawniej umiał porwać zapałem, olśnić siłą i świetnością argumentacyi, zaimponować nawet najbardziej nienawistnym. Były w jego przemówieniach pioruny, były ciosy wzgardy, były słowa jak stal dźwięczące i jak stal ostre, które przechodziły do historyi. W mowie środowej brakło tych wszystkich czynników, ale doprawdy, czy warto przemawiać w teraźniejszych warunkach do Niemców i wśród Niemców. Argumentacya ks. Jaździewskiego była i tym razem poprawna, chociaż bez słów mocniejszych, ale mogło się zdawać, że mówca polski ma nadzieję przekonać władzę, do jakiego stopnia błądzi, że zatem wierzy w dobrą wiarę pruskich mężów stanu! Powtarzał znowu o przyrzeczeniach pruskich królów i nadto powołał się na mowę Wilhelma II. w Gorlicach, mowę proklamującą wolność religii. Odpowiedziano mu cynicznymi drwinami...

Sekretarz stanu w wydziale sprawiedliwości dr Nieberding szydził nie tylko z Polaków, ale i z parlamentu, kiedy z najzimniejszą krwią oświadczał, że kanclerz konstytucyjnie niema prawa oddziaływać na kroki rządu pruskiego.

Wszystko zresztą, co dr Nieberding mówił o samej istocie sprawy, odnosiło się tylko do wyroków sądowych w sprawie odbierania dzieci rodzicom. Nie tylko nie znalazł ani słowa potępienia dla tych ohydnych aktów nieludzkiego gwałtu, ale przeciwnie nastawał na zasadę niezawisłości sądów. Starał się wmówić, że to Polacy chcą „gabinetowej sprawiedliwości", żądając wmięszania się rządu do toczących się prawidłowo spraw sądowych. To samo powtarzał pan Büsing imieniem nacjonalliberałów, szeroko uzasadniając słuszność poglądów sądu w Zabrzu, ku głośnemu oburzeniu Polaków, a nawet części centrum. Ale i pan Büsing wykrztusić jednak musiał, że wyrwanie kilku tysięcy dzieci polskich opiece rodzicielskiej nie byłoby właściwym krokiem do stłumienia strejku szkolnego... Tylko Bebel zaznaczył z naciskiem, że w sprawie poruszonej przez Polaków idzie poprostu o honor Niemiec. Zwracając się do Büsinga przypomniał mu, jak obaj w latach sześćdziesiątych oburzali się na haniebne próby duńskiego rządu, gdy dzieciom niemieckim w Szlezwigu Holsztynie chciano odebrać mowę ojczystą, a całe Niemcy zapłonęły gniewem z tego powodu, jak potem protestowano przeciw rusyfikacyi prowincyj nadbałtyckich i madziaryzowaniu Niemców węgierskich. Ale teraz Niemcy robią to samo z Polakami — i mówią, że to co innego. Alzatczykom po 200 latach przynależności do Francyi nikt nie odbierał mowy niemieckiej i odrębnych obyczajów i dlatego to pokochali Francyę ze szczerym zapałem. Mówiąc o strejku dzieci polskich, oświadczył Bebel, że podziwia ten czyn i nazwał go czemś wspaniałem. Niestety wobec wstrzemięźliwości i przesadnego umiarkowania sa-



Fot. dla „Now. Illustr." aparatem redakcyjnym W. Lis w Krakowie.
Autor naszej nowej powieści: Artur Gruszecki.

mych Polaków zbagatelizowano w parlamencie całą sprawę i zepchnięto ją nawet z porządku dziennego.

Równocześnie prawie w Delegacyach austryackich po wielu namysłach i przygotowaniach polscy delegaci zdecydowali się „poprzeć swoim protestem“ sprawę wielkopolskich ofiar pruskiego prześladowania. Zadania tego podjął się p. Kozłowski, który wyrażał wątpliwość, czy trójprzymierze może zyskać na trwałości, jeśli ucisk pruski przeciw Polakom trwać będzie w dalszym ciągu, ale nie miał odwagi stanowczego rzucić hasła, że Polacy domagają się wprost zerwania przymierza z państwem, które okrywa się hańbą barbarzyństwa.

Przeciwnie, sąd odrzucił wniosek obrońcy, „ponieważ twierdzenie, że w razie bezzwłocznego umieszczenia dzieci w zakładzie wychowawczym powstałaby dla rodziców niepowetowana szkoda, okazało się niczem nieuzasadnione“. Obrońca ponowił wniosek o wstrzymanie wykonania uchwały przy sądzie ziemiańskim. Tymczasem opiekun został zaprzysiężony.

w tamtejszem seminaryum nauczycielskiem. W czasie swej działalności profesorskiej zdobył sobie p. Drężepolski niezwykłemi zaletami serca i umysłu, ogromną pracowitością, łagodnością, wielką miłość wśród licznych zastępów uczniów, dla których był prawdziwym wzorem. To też w dniu uroczystości jubileuszowej stawili się do sali ratuszowej prawie wszyscy ci, którzy kształcili się pod jego okiem,



Gwałt pruski: 12-letnia Marya Piecha i 11-letni Fran. Piecha, skazani przez sąd za strejk szkolny na przymusowe wychowanie.



Gwałt pruski: Dzieci we wsi polskiej w Poznańskiem idą do szkoły odsiadywać areszt za walkę o naukę religii w języku polskim.

Gwałt pruski.

W Zabrzu na Górnym Śląsku sąd okręgowy powziął uchwałę, mocą której dwom ojcom odbiera się prawo opieki nad dziećmi za to, że dzieci posłuszne woli rodziców nie chciały się w szkole uczyć religii po niemiecku. Ojcami tymi są: inwalida p. Józef Zych i kolporter p. Piecha obaj z Zabrza, gdzie się rozpoczął górnośląski strejk szkolny. Panu Zychowi uchwalono odebrać 12 letnią córeczkę Maryę, panu Piesze zaś dwoje dzieci: 12-letnią Maryę i 11-letniego Franciszka (oto ich podobizna). Obrońca pp. Piechy i Zycha, p. Z. Seyda z Katowic stawił wniosek o wstrzymanie wykonania uchwały sądu opiekuńczego w Zabrzu. Tymczasem o zniesieniu uchwały mowy niema.

W parlamencie niemieckim w powyższej sprawie właśnie były dwie interpelacye.

Na rodziców dzieci strejkujących w dalszym ciągu sypią się kary pieniężne, a na dzieci plagi i areszty. Na zamieszczonej rycinie widzimy gromadkę chłopców różnego wieku w pewnej wsi W. Ks. Poznańskiego, dążących na areszt szkolny.

Jubileusz pedagoga.

W sobotę ubiegłego tygodnia odbyła się we Lwowie w sali obrad Rady miejskiej piękna i podniosła uroczystość ku czci prof Aleksandra Drężepolskiego, który od lat trzydziestu pracuje niezmordowanie na stanowisku profesora matematyki

aby dać wyraz swym uczuciom wdzięczności i uznania. Imieniem byłych uczniów jubilata przemawiali pp. Kwiatkowski, Wiśniewski i Kornecki, poczem serdecznie wzruszony pr. Drężepolski podziękował w ciepłych słowach za objawy uznania. Do podniesienia nastroju uroczystości przyczynił się niemało chór nauczycielski, który odśpiewał szereg pieśni.

Prof. Drężepolski jest Lwowianinem z rodu, urodzonym w r. 1850. We Lwowie ukończył gimnazyum oraz wydział filozoficzny uniwersytetu, gdzie należał do ulubionych uczniów śp. prof. Żmurki, znakomitego uczonego polskiego. Po ukończeniu studyów poświęcił się zawodowi nauczycielskiemu i od lat 30 pracuje w seminaryum nauczycielskiem.



Fot. M. Münz, Lwów.

Jubileusz pedagoga: Uczestnicy uroczystości jubileuszowej prof. Drężepolskiego. W środku jubilat (1) w otoczeniu rodziny.

W numerze dzisiejszym zamieszczamy grupę uczestników uroczystości jubileuszowej z prof. Drežepolskim i jego najbliższą rodziną w pośrodku.

Rewizya w Rakowie.

(Do illustracyi tytułowej).

Olbrzymia, zatrudniająca 2 500 robotników huta żelaza w Rakowie od dłuższego czasu uważaną była przez władze administracyjne za środowisko ruchu rewolucyjnego na okolice Częstochowy. Jeszcze w grudniu roku zeszłego dokonano przy pomocy umyślnie w tym celu sprowadzonego wojska, kilku secin kozaków, ścisłej rewizyi fabryki, co dało pohop urzędowej agencyi do rozesłania pozbawionych prawdy telegramów o odkryciu fabryki broni. Wtedy w Rakowie znaleziono po za obrębem murów fabrycznych kilka kling nożowych. Mimo to aresztowano wówczas kilku inżynierów oraz robotników, którzy siedzieli po kilka miesięcy w więzieniu. W ciągu roku również kilkakrotnie robiono rewizye fabryki, lecz rewizya ta nie dawała żadnych wyników. W ubiegły czwartek władza wojskowa urządziła specyalną ekspedycyę wojskową, do której przyłączono kilka rot wojska oraz secin kozaków. Ekspedycya ta działała w Rakowie przez dwa dni, t. j. aż do piątku wieczora. Tym razem ekspedycya ta dała niezwykłe rezultaty.



Bandyci skazani na śmierć przez sąd polowy: 17 letnia Olga Urbanowiczówna, przezwana „Odważna“, której karę śmierci zmieniono na ciężkie roboty.

Oto ogółem aresztowano 84 osób. wśród których znajdują się inżynierowie Lasocki, Bojemski, i Owerło oraz w pomieszczeniu fabrycznem i prywatnem robotników wykryto 2 tajne drukarnie, kilka pudów czcionek, kilka pudów druków nielegalnych, oraz kilkadziesiąt sztuk broni palnej. Aresztowanych przeprowadzono do Częstochowy i umieszczono ich pod silną wartą wojskową w magistracie w sali obrad na pierwszem piętrze.

Do Częstochowy przyjechał sędzia śledczy do spraw szczególnej wagi z Piotrkowa i gubernator piotrkowski, który osobiście prowadzi śledztwo.

Bandyci skazani na śmierć przez sąd polowy w Warszawie.

Sąd polowy w Warszawie rozpoznawał w ciągu dwóch dni w cytadeli sprawę bandy zbójeckiej, która w Warszawie i na prowincyi dokonała całego szeregu napadów zbójeckich, zabójstw i rabunków.

Z ważniejszych spraw szajka dokonała napadów:

1) na mieszkanie Szlamy Wachtera przy ulicy Ogrodowej w Warszawie, przyczem bandyci pod grozą rewolwerów zrabowali Wachterowi 37 rubli i zmusili go do wydania rewersu na 72 rubli;

2) napadu na kantor Kryjewskiego przy ulicy Ogrodowej w Warszawie; bandyci sterroryzowali buchaltera Muzolfa i zrabowali 671 rubli gotówką i 321 rb. wekslami;

3) napadu na mieszkanie artystki Zuzanny Ostrowskiej przy ulicy Trębackiej w Warszawie; pod groźbą rewolwerów napastnicy zrabowali 50 rubli;

4) napadu na mieszkanie akuszerki Wandy Dobrowolskiej przy ul. Kruczej w Warszawie; zrabowano rubla;

5) napadu na mieszkanie Maryi Jaworskiej, szwaczki, na Nowym Zjeździe w Warszawie; tutaj nie zrabowano nic;

6) napadu we wsi Andrzejowie na dom włościanina Witowskiego; zrabowano 467 rb;

7) napadu na mieszkanie Józefy Rylowej i Heleny Janiszewskiej; zrabowano rubla

8) napadu na mieszkanie sołtysa Michała Klamry, we wsi Zieleniec, w pow. warszawskim; zrabowano 8 rb. w gotówce i 3 pudy smalcu;

9) powtórnego napadu na dom tegoż Klamry; zrabowano 8 rubli;

10) napadu na mieszkanie Henryka Finkelkrauta w Warszawie; zrabowano 3 ruble;

11) napadu w lesie skierniewickim na Juliusza Koppa; zrabowano 1.316 rb.;

12) napadu na przejeżdżającego przez skierniewicki las doktora Rybickiego; nie zrabowano nic;

13) napadu na obywatela ziemskiego Okęckiego i żonę obywatela ziemskiego, Puławską, pod Skierniewicami; Puławską, bandyci zamordowali, Okęckiemu zrabowali pugilares z pieniądzmi.

Sprawcy zostali skazani na śmierć. Oto ich dobre podobizny.

Wyrok śmierci warszawskiego sądu wojennego przedstawiono do zatwierdzenia generał gubernatorowi. Biorąc na uwagę młody wiek i przyznanie się do winy podsądnych, postanowiono prosić o złagodzenie kary. Prośby co do niektórych odrzucił generał gubernator, trzem zatwierdził wyrok śmierci, reszta uczestników bandy została skazana na ciężkie roboty („Florek“ bezterminowe) Z powodu okazanej skruchy 17 letniej Urbanowiczównej i 19 letniego Anasiewicza zniesiono im obojgu karę śmierci na 8 lat ciężkich robót.

Wynalazca telefotografii.

(Do illustracyi na str. 14).

Dowiedziała się już nasza publiczność o sensacyjnym wynalazku prof. Korna z Monachium, dzięki któremu odtąd podobnie, jak wiadomości i artykuły, telegrafować się będzie do pism i fotografie okolic, scen czy osób opisywanych. a tak samo władze sądowe będą mogły uprzedzać uciekających zbrodniarzy ich fotografiami telegraficznie przesłanemi na wszystkie granice. Zamieściliśmy już reprodukcye portretów fotograficznych w ten sposób otrzymanych ze znacznej odległości po drucie telegraficznym. Dziś podajemy rycinę, na której widać wynalazcę w laboratoryum monachijskiem przy aparacie telefotograficznym swego systemu. Jest to właśnie ów przyrząd, z pomocą którego można przesyłać w drodze telegraficznej postępowo, punkt po punkcie obraz kliszy fotograficznej i w ten sposób otrzymywać wierną jej reprodukcyę w miejscu oddalonem o tysiące kilometrów od nas.



Bandyci skazani na śmierć przez sąd polowy w Warszawie: 20-letni Antoni Kabat, zwany „Rzeźnik“, na którego wydany wyrok śmierci zatwierdził generał-gubernator.

Prof. Korn postępuje przytem sposobem telegrafu piszącego Casseliego lub jeszcze bardziej udoskonalonego przez włoskiego uczonego Cerebotaniego, t. j. że obraz przesłany odtwarza się podług całej seryi równoległych linij. które też znać na odbiciu przesyłanych telegraficznie fotografii, jak to musieli nasi Czytelnicy zauważyć na trzech portretach przed paru tygodniami przez „Now. Ill.“ zamieszczonych. Zasada wynalazku opiera się na dobrze znanej własności metaloidu, pokrewnego siarce „selenium“, przeciwstawiania przechodzącemu prądowi elektrycznemu oporu, proporcyonalnego do natężenia światła, które go oświeca. Z pomocą tej własności „selenium“ przemieniają się drgania świetlne w drgania elektryczne i naodwrót. Liczne próby stwierdziły już niezawodność nowego wynalazku tak, że z wiosną już funkcyonować będą pierwsze stacye telefotograficzne między Berlinem a Monachium.



Bandyci skazani na śmierć przez sąd polowy w Warszawie: Od lewej ku prawej 1. Stan. Szułowicz, zwany „Czerwony“, 2. Wład. Basiński, zw. „Czarny“, 3. Floryan Pruszyński, zw. „Florek“, 4. Ludwik Anasiewicz, zw. „Kelner“ — uczestnicy bandy, która prócz różnych napadów, zamordowała obywatelkę Puławską pod Skierniewicami.



Powieść ARTURA GRUSZECKIEGO
na tle ostatnich rozgłośnych wypadków w Królestwie Polskiem.

1.

ROZDZIAŁ I.

Po przez ciężkie portyery i delikatne firanki prześlizgiwały się łagodne promienie słońca jesiennego rozświetlając wykwintnie umeblowany buduar pani generałowej Czerniejew.

Generałowa przy pomocy pokojowej kończyła toaletę wizytową i z wielką uwagą badała szczegóły swego stroju i postaci.

Przypatrując się swej twarzy trochę już zwiędłej, ze zmarszczkami w kącikach ócz i około ust, westchnęła nie bez żalu za minioną młodością. Ręką białą, wypieszczoną, ozdobioną obrączką ślubną i pierścionkiem brylantowym migocącym iskrami, poprawiła włosy czarne, zakrywając starannie dobywające się natrętnie pasemka srebrnawe, i znów westchnęła.

Pokojowa układając fałdy sukni orzechowej z odblaskiem złotym, w odpowiedzi na te westchnienia odezwała się cicho z łagodnym uśmiechem w łamanym rosyjskim języku:

— Jaśnie pani prześlicznie wygląda — i swoim oczom starała się nadać wyraz zachwytu.

Pani uśmiechnęła się melancholijnie i obracając się profilem do lustra ściennego w bogatych ramach, rzekła:

— Co ty wiesz... Nie znałaś mnie... Popraw koronki... Jeszcze kontrafałdy...

W przyległym pokoju dały się słyszeć stłumione kroki, portyery u drzwi rozchyliły się i w progu stanął „dieńszczyk“, żołnierz przeznaczony do prywatnej służby generała.

— Jaśnie pani dzwoniła?

— Nie.. Pewno młody pan... Idź, zobacz... Jeśli jest, poproś go do mnie.

— Słucham.

Po chwili wszedł do pokoju młody, szczupły brunet i z uśmiechem na ładnej twarzy:

— Więcej tu zapachu aniżeli kwiatów.

Matka spojrzała dość surowo i zwracając się do służącej:

— Możesz odejść — powiedziała po polsku, a do syna po rosyjsku — usiądź Kola, chcę pomówić z tobą.

— Wpierw okno otworzę, dobrze?

Nie czekając na zezwolenie, szeroko roztwarł okno i usiadł na zgrabnem, fantazyjnem krześle, [illegible]czo w twarz matki, która ostrożnie usia[illegible]etce, pokrytej różowawym jedwabiem. Po krótkiem milczeniu przemówiła z wyrzutem w głosie:

— Nie byłeś na obiedzie... To drażni ojca... Z trudem udało mi się uspokoić go i proszę cię, zastosuj się do jego wymagań.

— Spotkałem kolegów i... zapomniałem o obiedzie.

— To żadna wymówka — zaczęła surowym tonem — wiesz, jak zmartwiłeś go swojem wystąpieniem z akademii wojskowej, a teraz zamiast uległości, posłuszeństwa, zastosowania się do jego woli, nieustanny opór, prawie lekceważenie. Opamiętaj się Kola, to przecież ojciec.

Słuchał chmurny, zapatrzony w kąt pokoju i spytał chłodnym tonem:

— Czy już wszystko?

— Kola, co tobie? — zawołała z żalem — wiesz, jak bardzo cię kocham, przecież ty jedyny syn u mnie, ale ty naprawdę nadużywasz cierpliwości ojca. Złamałeś sobie karyerę wojskową, a on tak liczył na ciebie, taki był dumny, tak się cieszył...

— Ależ, moja mamo, na co to wywlekanie dawnych spraw... To minęło i już nie wróci..

— Otóż właśnie wróci... Nie smakowała ci służba wojskowa, cóż robić, sam kiedyś pożałujesz tego — westchnęła — ale jest jeszcze przed tobą karyera cywilna... I właśnie dziś wspominał ojciec, że czyni starania o posadę dla ciebie w cywilnym zarządzie kraju..

— Nie przyjmę żadnego urzędu — rzekł twardym tonem.

— Ale dlaczego?

— Nie znoszę żadnej obróży... Chcę być człowiekiem...

— Ty Kola zawsze swoje w kółko, ale zrozum wreszcie, że ojciec nie jest wieczny, że póki on żyje i ma wpływowe stosunki, ty powinieneś korzystać z tego — a widząc ironiczny uśmiech syna — chcesz być człowiekiem, a gdzież posada? urząd? pensya? Czyż twój ojciec i nasi znajomi to nie ludzie? Każdy z nich taki człowiek, jak i ty!

Zadowolona ze swego argumentu spojrzała na syna z odcieniem tryumfu.

— Ach mamo — zaśmiał się — nie zapominaj przysłowia: „nie wywołuj wilka z lasu“.

— Cóż to ma znaczyć?

— Ano, rzecz prosta... Człowiek, to znaczy taki, który jest wolny, ma swe przekonania, swoją wolę, taki, który jest sobą... a ojciec i ci wasi znajomi, kto z nich może śmiało powiedzieć: jestem człowiekiem! Nie było ukazu — uśmiechnął się — nie napisano w „zwodzie zakonow“, nie rozstrzygnęła wyższa władza.. i oni czekają na rozkaz... Czy tak postępuje człowiek?

— Nie mam czasu na głupie dysputy... Jak bieda zajrzy ci w oczy, będziesz inny... Teraz słuchaj ojca i nie drażnij go... Możebyś poszedł ze mną na five o'clocke, chodź, ucieszysz ojca.

— Nie mogę.. Jestem zajęty...

— Nie marudź... Poznasz tam całą śmietankę towarzystwa, a takie znajomości zawsze się przydadzą.

— Ta wasza śmietanka — uśmiechnął się z goryczą — jest szumowiną społeczną i nie chcę mieć nic z nią wspólnego.

Wstał z krzesła, a zbliżywszy się do matki, mówił miękkim głosem:

— Nie gniewaj się mamo, bo i tak mi ciężko i smutno.

— Kola!... Ty może chory? Co tobie? Czego chcesz? No, powiedz mi mój drogi, wyznaj mi wszystko... Może długi? Mów...

— Jestem zdrów, nic mi nie brakuje, tylko pozwólcie mi iść własną drogą... Rozstańmy się zgodnie.

— Ty wiesz Kola, że to niemożliwe, ojciec wyprze się ciebie... A ja chyba umrę z żalu... Ty nie zrobisz tego Kola, ja cię tak kocham.

— Kiedyś zawsze rozstać się musimy.

— Ale nie w ten sposób, nie z przekleństwem, zmiłuj się nademną Kola — wstała i pochwyciła jego ręce — o to jedno, jedyne cię proszę, nie porzucaj nas... Przyrzeknij mi...

Ta prośba matki, którą szczerze kochał, wzruszyła go i miękkim głosem:

— Ty dobra, mamo... Zostanę, kiedy wymagasz — westchnął.

— Już nie wzdychaj, nie żałuj... Zobaczysz, wszystko się ułoży dobrze, już ja wpłynę na ojca i będzie zgoda.

— Dobrze mamo — rzucił obojętnie — idę już... Czekają mnie...

— Ale, ale Kola... Byłabym zapomniała... Zdaje się, że ojciec zostanie wojennym naczelnikiem miasta. Wezwano go do generał gubernatora. Przy kolacyi wspomnij coś o tem, powinszuj mu odznaczenia i tego dowodu zaufania.

— Ojciec został? Ojciec? — a w głosie czuć było przykre zdziwienie.

— Tak, Kola — uśmiechnęła się — ludzie szanują i cenią twego ojca. Od jutra on jest panem miasta, panem życia i śmierci.

— Jeszcze i ta ohyda — mruknął przez zęby, a głośniej — nie ciesz się mamo, to niebezpieczny zaszczyt.

— Mówiliśmy o tem, — powiedziała tonem pewności — i nie widzimy nic w tem niebezpiecznego, bo ta hołota rewolucyjna nie ośmieli się tknąć naczelnika, a następnie ojciec mi przyrzekł, że bez asysty wojskowej nie wyjdzie na miasto. Czy cię to uspokoiło?

— No, tak, zapewne... Ale nie zapominaj mamo, że nie takich już sprzątnęli.

— Tak... w Rosyi, lecz nie tutaj w Polsce. Tu wystarczy czapka mundurowa i wszystko ucieka lub kłania się pokornie. Sam wiesz o tem.

— Teraz inne czasy... Czy nie widzisz mamo, że tu wszystko wre, kipi, burzy się, a czapka mundurowa może zlecieć razem z głową...

— To tylko w twej wyobraźni. Manifestowali przecież, krzyczeli, grozili i jedna sotnia kozaków uspokoiła ich. Nie bój się Kola, ani ojcu, ani żadnemu z naszych, tu, w tym kraju, nic złego się nie stanie.

— Może i tak — spojrzał na zegarek — do widzenia mamo.

— Podwiozę cię, zaczekaj...

— Dziękuję... idę w przeciwną stronę.

— Kola, bądź na kolacyi — zawołała za odchodzącym.

— Nie będę w domu... Interesa.

Z ulicy Wiejskiej, przy której mieszkał generał Czerniejew, szedł Kola pospiesznie krokiem elastycznym, a jego garnitur nienagannie skrojony, jego młodość i piękne, marzące, czarne oczy odziedziczone po matce, zwracały uwagę nietylko kobiet, ale i mężczyzn. W twarzy, w ruchach, w mi-

janiu spotkanych znać było, że zatopiony w myślach nie widzi nikogo. Na rogu Nowego Świata gdy mijał cukiernię, zbliżył się do niego młody szatyn, również starannie ubrany i kładąc mu rękę na ramieniu, zawołał wesoło:

— Stój! Kola!

Wstrzymany drgnął, jak człowiek nagle przebudzony, zaczerwienił się, co nadało jego smagłej twarzy tony gorące i po krótkiej chwili uścisnął podaną rękę.

— O czem myślałeś? Szedłeś jak zahypnotyzowany — uśmiechnął się, równając się z nim w kroku.

— Masz słuszność, hypnotyzuje mnie dzisiejsze posiedzenie — odparł Kola po polsku z akcentem rosyjskim ledwie dostrzegalnym i wyjmując zegarek: — nie spóźnimy się? Może pojedziemy?

Zegarek wskazywał kwadrans na siódmą, co sprawdziwszy, rzekł towarzysz:

— Dosyć czasu, za pół godziny zajdziemy pieszo na Zjazd... Ależ ruch dzisiaj na ulicach — i wskazał ruchem głowy na przesuwające się tłumy publiczności.

— Słuchaj Bal — przemówił Kola, skracając nazwisko Balkowski do jednej sylaby — gdyby można jednem tchnieniem, jednym ruchem, natchnąć tych wszystkich pragnieniem wolności! Wiarą w swe siły!... Zwyciężylibyśmy — i w oczach zabłysły mu iskry zapału.

— Tych ludzi porwie tylko czyn. W ich duszach drzemie wolność, a obudzi ją czyn.

Kola spojrzał trochę drwiąco na towarzysza:

— Gdybyś Balu zajrzał w serca tych burżujów, ujrzałbyś najpierw strach, a wolność nie drzemie u nich, nie śpi, lecz daje nurka przy każdej sposobności.

— Frazes Kola... Nie rozumiesz i nie znasz tych ludzi. Sądzisz z pozorów i w tem się mylisz.

— Z pozorów? — zaśmiał się — tyle lat byłem tu, chodziłem do szkół, z wami żyłem i nie znam was?

— Nie z nami być trzeba, lecz w nas—odpowiedział suchym tonem.

— A to nowa nuta u ciebie Balu, skądże się wzięła?

— Być może że nastroił mnie tak wiec robotników... Ale, ale, patrz; jedzie patrol kozacki... Widzisz, jak ten przy chodniku przeraża kobiety i dzieci..

Nowym Światem posuwał się stępa patrol kozacki. Na małych, kudłatych koniach siedzieli młodzi jeźdźcy, a ich ciemne, opalone twarze wyrażały jakąś dziką radość. W oczach malowała się złośliwość, żądza i dumna pewność siebie. Jeden z kozaków, wachmistrz prowadzący patrol, jechał tuż przy chodniku i od czasu do czasu śmignął nahajem w powietrzu. Koń, kozak i świst nahaja przestraszał idących, którzy szybko usuwali się pod mury kamienic, zwłaszcza kobiety i dzieci z przyciszonym głosem trwogi chroniły się, przylegając niemal do murów, lub chowały się w otwarte drzwi sklepowe. Te oznaki obawy widocznie cieszyły wachmistrza, gdyż coraz częściej świstał nahaj i koń zbliżał się do chodnika; dopiero nadejście kilku wyższych oficerów i ich surowe spojrzenia powstrzymały wybryki wesołości kozaka.

Kola patrząc na zachowanie się patrolu syknął przez zęby:

— A sukin syny!

Bal szedł spokojnym krokiem, tylko lekko pobladł, a w oczach migotały złość i oburzenie.

Po dobrej chwili odezwał się Bal:

— Widziałeś spojrzenia tych napastowanych?

— Była nienawiść, dlaczegoż tak zgasła? Patrz, już idą uśmiechnięci, weseli, bez troski.

— Bo są bezbronni i w niewoli.

— A my, czyż jesteśmy w lepszych warunkach? — zawołał podniecony — ale przyjdzie czas porachunku... Chodźmy prędzej... Może już czekają?

— Nie chybimy i minuty; mamy czas.

— Ależ ty spokojny — rzekł Kola z ironią — a przecież to wysoka gra. Jeśli nastąpi porozumienie, zacznie się czyn.

— Kto jest z Petersburga?

— Mój dobry znajomy, Aleksander Konstantynowicz Potiszew, zwany wśród towarzyszy Wara... Chłodny polityk, ale zawzięty socyalista.

— Tem lepiej, liczę więcej na rozum, aniżeli na uczucie. A tego z Moskwy znasz?

— Mikołaja Antonowicza Hałagańskiego spotkałem kilka razy na posiedzeniach studenckich... Szczera, ruska natura, tylko zapalony, jak wasz Wicher.

Nagle, tuż przy nich, zawołał groźnie stójkowy, policyant pilnujący porządku na ulicy:

— Na bok! Na bok!

Dorożki i powozy prywatne odsuwały się pospiesznie na strony, a środkiem Krakowskiego Przedmieścia od Zamku, pędził powóz, zaprzężony rosyjską modą. Gruby kuczer, owinięty tułubem, w niskim, ceratowym kapeluszu, w dwu wyciągniętych rękach trzymał wyprężone lejce. Z obu boków powozu i za nim biegło wyciągniętym kłusem pięciu dragonów z karabinami przewieszonemi.

W powozie, dumnie rozparty siedział generał, a lewa pierś jego zasiana była orderami. Krótkie



...w progu stanął „dieńszczyk", żołnierz przeznaczony do prywatnej służby generała.

bokobrody i wąsy w górę podkręcone nadawały jego spokojnej, nieruchomej twarzy wyraz surowości bezwzględnej, a oczy zimne z obojętną pogardą patrzyły na rojącą się publiczność.

Kola drgnął i przybladł, odruchowo zdjął kapelusz do ukłonu.

Generał zmierzył go surowym wzrokiem, ledwie skinął głową, i powóz uniósł go dalej.

— Mówią, że ten nowy naczelnik miasta zaprzysiągł nam zgubę — uśmiechnął się Bal lekceważąco — czy to prawda Kola, bo przecież znasz go.

— Może i prawda — odmruknął.

— Zatem walka... Cóż ty na to, Kola?

— Nie męcz mnie... Czy to moja wina, że urodziłem się jego synem? — kończył z wyrzutem w głosie.

— Któż mówi o winie; ale nazwisko musisz oczyścić.

— I zrobię to — mruknął przez zaciśnięte zęby.

Zbliżali się do kościoła Bernardynów i Bal przemówił:

— Idziemy Maryensztadem do Figury, czy Zjazdem?

Figurą nazywano inżyniera Stanisława Posępskiego, w którego mieszkaniu miało się dzisiaj odbyć posiedzenie delegatów socyalistycznych.

— Chodźmy Zjazdem... bliżej.

Zaledwie zrobili kilka kroków, gdy tuż z zakrętu przed nimi wyszła młoda, elegancko ubrana panna i wyciągając rękę, zawołała uradowana:

— To wy Kola Michajłowicz!

Skłonił się, uścisnął podaną rękę i mówił po rosyjsku:

— Bardzo rad ze spotkania, Wiera Pawłowiczówna — i witał następnie dwie starsze panie.

Bal wyminął stojącą grupę spojrzawszy bystro na ładną Rosyankę i mruknął:

— Ten Kola ma szczęście.

Kola czuł się jednak bardzo skrępowany spotkaniem; panie, a zwłaszcza Wiera, nalegały grzecznie aby im towarzyszył. Udało mu się wreszcie pożegnać, dopędził Bala i rzekł z grymasem niezadowolenia:

— Nareszcie uwolniłem się... I chyba już nikogo nie spotkam.

Zagadnięty spojrzał na twarz Koli badawczo, i z uśmiechem niedowierzania:

— Nie ciesz się, bo i jutro dzień, i jutro spotkanie.

— Co innego mam do roboty... Sentymentalni mogą gruchać, ale nie my.

— Nie zarzekaj się, bo pożałujesz — zaśmiał się — oto i nasza forteca.

Stanęli przed domem, który od Zjazdu miał trzy piętra, ponieważ jednak parter jego leżał na poziomie ulicy Garbarskiej, więc niższa część kamienicy miała również trzy piętra i liczne wejścia od ulic przyległych. Ta właściwość kamienicy czyniła ją bardzo sposobną do wszelkich poufnych a niedozwolonych zebrań. Kilka bram wejściowych, liczne krzyżujące się schody, wielka ilość mieszkań i lokatorów, bardzo uczęszczany Zjazd i targowisko na dole od strony Maryensztadu, zabezpieczało tajne zebrania od niespodziewanego najścia i nagłej rewizyi.

Bal znający dobrze kamienicę był przewodnikiem, a zastukawszy w umówiony sposób, weszli obydwaj do oświetlonego, obszernego przedpokoju, gdzie ich powitał gospodarz, blondyn lat przeszło trzydziestu.

W obszernym pokoju, jasno oświetlonym wiszącą lampą, umeblowanym skromnie lecz dostatnio, siedziały przy okrągłym stole trzy osoby, które umilkły przy wejściu gości.

Jeden ze siedzących mężczyzn, szczupły, wysoki, z twarzą bladą, z ciemnym zarostem, wstał pospiesznie i podając rękę Koli, rzekł po rosyjsku:

— Nie spodziewałem się was spotkać tutaj... Macie prawo?

— Wczoraj otrzymałem depeszę. Cóż u was Wara nowego?

— Stare dzieje. Tropią nas, więżą, wysyłają, ale w szeregach nie czuć ubytku, i byle razem, a przy nas zwycięstwo.

— A gdzie Procz? — spytał Kola o wysłannika z Moskwy.

— Tylko co nie widać... Zaraz przyjdzie — spojrzał na ścienny zegar, wskazujący siódmą za dwie minuty.

Obaj wszczęli rozmowę o znajomych, a w tymże czasie gospodarz, Bal i Wichurski, młody blondyn, z delikatnemi, niemal kobiecemi rysami twarzy, rozmawiali przy stole o sprawach partyjnych, zwracając się często do siedzącej. młodej kobiety. Nie była ona piękną w znaczeniu klasycznem, lecz miała niezmiernie dużo wdzięku i słodyczy w t[illegible]rzy wrażliwej, a oczy jej ciemno błękitne przy dziecięcej prostocie i szczerości wyrażały głęboką powagę i spokój. Nazywała się Ogniewska, ale w partyi z powodu swej krytyki otrzymała przezwisko: *Logika*, i pod tą nazwą była ogólnie znaną.

— Wiecie co o Helenie? — spytała dźwięcznym głosem obok stojącego Wichurskiego.

— Zawsze jeszcze w ratuszu, siedzi z uliczni cami i złodziejkami.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Dziurawy okręt.

Według wybornej fotografii wykonana rycina przedstawia front okrętu z wyraźną dziurą w ścianie. To statek niemieckiego Lloyda „Cesarz Wilhelm Wielki“, któremu przed paru tygodniami podczas podróży po kanale przydarzyła się fatalna przygoda. O wieczornej porze najechał na niego przypadkiem statek angielski „Orinoco“ i ugodził weń tak silnie, że jak widać na rycinie, wywiercił w przedniej ścianie „Wilhelma“ ogromną dziurę. Całe szczęście, że oba okręty płynęły wtedy niezbyt szybko i dzięki temu zderzenie dwóch dużych statków nie przybrało rozmiarów wielkiej katastrofy. Zdjęcia fotograficznego dokonał jeden z podróżnych.

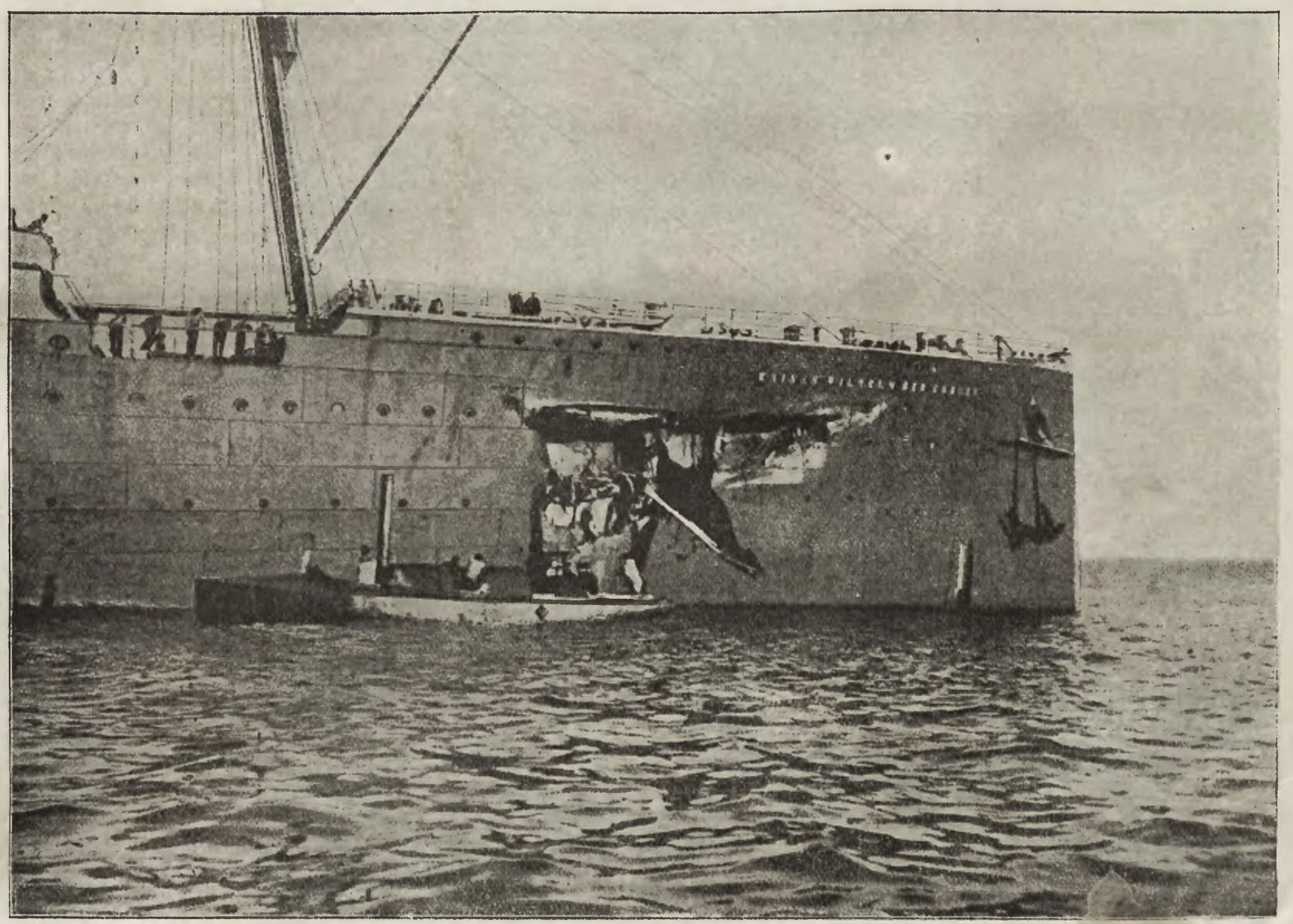
Ręka zbrodnicza.

Prawdopodobnie ręka zbrodnicza wywołała w westfalskiej fabryce roburytu pod Annen straszny w skutkach wybuch, którego ofiarą padło kilkudziesięciu robotników zabitych i mnóstwo rannych, a nadto wielu zabitych lub pokaleczonych z pośród ich rodzin, a mieszkańców tej okolicy.

Podajemy dziś kilka illustracyj z tej ogromnej katastrofy, uzupełniając je następującą wiązanką objaśnień, na podstawie korespondentów z miejsc nieszczęścia, które tem bardziej nas znowu dotyczy, gdyż w Westfalii pracuje mnóstwo robotników polskich.

Miejsce katastrofy z fabryką roburytu Ardey'a leży w westfalskiej okolicy, posiadającej słynny przemysł żelazny i stalowy, a mianowicie pomiędzy miastami Witten i Annen, na południe od miast Essen, Bochum i Dortmund, a na północ od Barmen, Hagen i Elberfeld. W odległości 13 kilometrów od Dortmundu leży przemysłowe miasto Witten nad rzeką Ruhr, liczące około 30 000 mieszkańców. Kolej elektryczna wiedzie stąd do pobliskiego miasteczka Annen, mającego 10 000 mieszkańców. I tutaj znajdują się również wielkie fabryki żelaza i stali.

Pomiędzy temi miejscowościami leży fabryka roburytu pod firmą Ardey. Roburyt należy do tak zwanych środków wybuchowych bezpieczeństwa. we bezpieczeństwa, używane zwłaszcza w kopalniach węgla, gdzie przy wysadzaniu skał zapalają się i wybuchają często gazy. Wybuchowe materye bezpieczeństwa mają tak niską temperaturę palenia się, że gazy przytem nie zapalają się, a więc nie wybuchają. Dalej materyały te łatwe



Dziurawy okręt: Widok przedniej strony niemieckiego parowca „Wilhelm Wielki“, przedziurawionego przed dwoma tygodniami podczas wieczornej podróży po kanale, po zetknięciu się z parowcem angielskim „Orinoco“.

Ponieważ dynamit przedstawia wielkie, a często nieobliczalne niebezpieczeństwa, więc chemicy pracowali nad wynalezieniem takiego środka wybuchowego, któryby jak najmniej był groźnym. Wynaleziono wreszcie tak zwane materye wybuchowe bezpieczeństwa... są do przewożenia, gdyż powodują wybuch tylko w stanie silnego ściśnienia, kiedy zaś wolne leżą, palą się bez wybuchu.

Jak wspomnieliśmy, do środków wybuchowych bezpieczeństwa należy roburyt, wynaleziony przez chemika dra Rosha. Składa się z 82 części saletry amonowej i 18 części dinitrobenzolu. Składniki te osobno nie mają zdolności wybuchania i dopiero pomięszane mogą wybuchać. W jaki sposób w fabryce Ardey mógł nastąpić wybuch tak w skutkach swoich straszliwy, jest o tyle zagadką, że najpierw w takich fabrykach pracuje bardzo mało ludzi, gdyż wyrób odbywa się prawie wyłącznie maszynami, a powtóre dlatego, że składy są od fabryki właściwej oddzielone, w dodatku zaś przestrzeganie wszelkich przepisów ostrożności jest skrupulatne.

Ażeby zapobiedz większemu wybuchowi, roburyt i wogóle podobny środek wybuchowy bywa przechowywany w małych domkach, mających trzy ściany z surowej cegły, czwartą zaś ścianę ze słabego drzewa. Ta ściana ma nazwę „latającej“. Każdy taki domek jest otoczony wałem z ziemi. Jeżeli w którym z domków nastąpi wybuch, to wtedy wylatuje w powietrze ściana drewnia-



Zbrodnicza ręka: Po katastrofie w Annen: widok zniszczenia zrządzonego w odległości 1500 metrów od miejsca wybuchu roburytu.

na, skutkiem czego siła wybuchu ma mniej więcej cechy zwyczajnego prochu i jest o wiele niewinniejszym, niż inne środki wybuchowe. Dopiero zadomocą sztyftu wybuchającego roburyt wybucha, sam płomień do tego nie wystarcza.

Mieszkańcy miasteczka Annen ujrzeli nagle płomienie i sądzili, że to zwykły pożar. Ale gdy pospieszyli do okien, by zobaczyć, gdzie się pali, nastąpił wybuch. Setki ludzi pobiegło na miejsce katastrofy i zbliżyło się tuż pod fabrykę. W tej chwili nastąpił drugi wybuch i pozabijał, względnie pokaleczył całą masę widzów. Przez całą noc słychać było ciągle nowe wybuchy roburytu.



Zbrodnicza ręka: Ogólny widok zniszczonej wybuchem fabryki roburytu pod Annen w Westfalii, zdjęty nazajutrz po strasznej katastrofie.

W pobliżu miejsca katastrofy kilkadziesiąt domów ma zerwane dachy i zburzone mury szczytowe; w niektórych domach niema ścian, dzielących pokoje, ani pował. Stojąc przed frontem domu, można widzieć przez zburzone mury podwórze i tył domu, patrząc zaś z sieni do góry, spostrzega się chmury, płynące po niebie.

Już po pierwszym, mniej silnym wybuchu, część mieszkańców miasta Witten, a zwłaszcza Annen, opuściła swoje mieszkania, zabierając z sobą potrzebniejsze, a zwłaszcza cenniejsze rzeczy. Inni czekali jeszcze, przypatrując się słupom ognia i dymu. Mnóstwo osób z obu miast pospieszyło na miejsce pożaru, otoczywszy je wielkim pierścieniem. Nastąpił drugi, silniejszy wybuch. Ów pierścień ludzi został nadzwyczajną siłą prężności powalony na ziemię, a spadające na ten żywy wał kamienie, deski, kawały żelaza znacznej wielkości poraniły w rozmaitym stopniu bardzo znaczną liczbę osób, zabijając niektóre. Pewnemu sierżantowi policyi sztaba żelazna rozdarła brzuch. Nieszczęśliwy poniósł natychmiastową śmierć. Rozrzucone po ziemi czapki i kapelusze świadczyły, z jakim pośpiechem ciekawi widzowie uciekali, o ile uciec jeszcze mogli.



Bohaterka skandalu: Córka kantora synagogi wiedeńskiej, aktorka Marya Sulzer, późniejsza baronowa Liebensberg, z którą miał się żenić książę Joachim Albrecht pruski.

W ogromnym promieniu dokoła miejsca katastrofy leżały szczątki rozmaitych przedmiotów. Silny parkan z desek, otaczający fabrykę, został zupełnie zniesiony, a raczej uniesiony, gdyż pozostało po nim zaledwie kilka słupów. Dalej leżały części maszyn i muru, długości pół metra. Żelazne maszty, na których wisiały elektryczne lampy łukowe, są tak pogięte, że trudno dziś rozpoznać do czego służyły. Podobnie pogięte zostały żelazne dźwigary 8 metrowej długości. Wóz czterokołowy leżał na pół przerwany. Gołębie i drób próbowały latać na opalonych skrzydłach. Dwadzieścia wozów między niemi wóz meblowy, musiano sprowadzić do przewożenia ciężko rannych i trupów. Nazajutrz po katastrofie, to jest we czwartek, od czasu do czasu z pośród zgliszcz dobywał się pośród huku słup ognia. To wybuchały małe ilości roburytu.

W mieście Witten, przy ulicy Kolejowej, w odległości kwadransa drogi od miejsca katastrofy, silne szyby lustrzane zostały jakby na proch starte. W wielkich sklepach okna wystawowe leżą z futrynami i towarami na chodniku, a parobcy te szczątki zmiatają miotłami. W niektórych domach bramy zostały wgniecione w środek sieni, jakby nie z grubych desek, ale z tektury były zrobione. Po katastrofie tłumy ludzi wracały do miasta w zabrudzonej i poszarpanej odzieży — byli to świadkowie, którzy przeżyli straszne widowisko. Szli powoli, niektórzy z bandażami na głowach i rękach. Ciężko rannych i zabitych przywoziły rozmaitego rodzaju wozy.

W mieście Annen tysiące szyb zgniotła prężność powietrza, wywołana wybuchem, a chodniki pokryte były odłamkami szkła, płatami poszarpanych stor blaszanych, kawałkami ram i futryn. Budynki niektóre są silniej uszkodzone niż w Witten. Bardzo ucierpiała kolonia fabryczna Kruppa.

Bohaterka skandalu.

Niedawno opisywaliśmy szeroko skandal w cesarskim domu Hohenzollernów, więc Czytelnicy mają jeszcze w pamięci szczegóły sprawy małżeństwa z przeszkodami pruskiego księcia Joachima Albrechta, którego niespodziewanie skazano na banicyę, wysyłając go z Berlina do wojsk afrykańskich Dając wtedy wyborny jego portret, opowiedzieliśmy dziwną historyę skandalicznego małżeństwa aktorki wiedeńskiej panny Maryi Sulzer z baronem Liebensbergiem, mizernym urzędnikiem magistratu berlińskiego, dzięki któremu, zdobywszy sobie tytuł baronowski, miała córka kantora z synagogi wiedeńskiej i podrzędna aktorka, zaślubić



Dymisya admirała: Dowódca marynarki austro-węg., admirał hrabia Rudolf Montecuccoli, którego dymisyi spodziewają się po Delegacyach.

zakochanego w niej syna księcia regenta Brunświku, a kuzyna cesarza Wilhelma. Chcieliśmy już wtedy zamieścić fotografię bohaterki tego głośnego skandalu, ale rzeczą było niezmiernie trudną zdobyć portret tej pani, ponieważ władze pruskie z łatwo zrozumiałych powodów zabroniły rozpowszechniania jej podobizny. Toteż dziś dopiero możemy zaspokoić ciekawość naszych Czytelników.

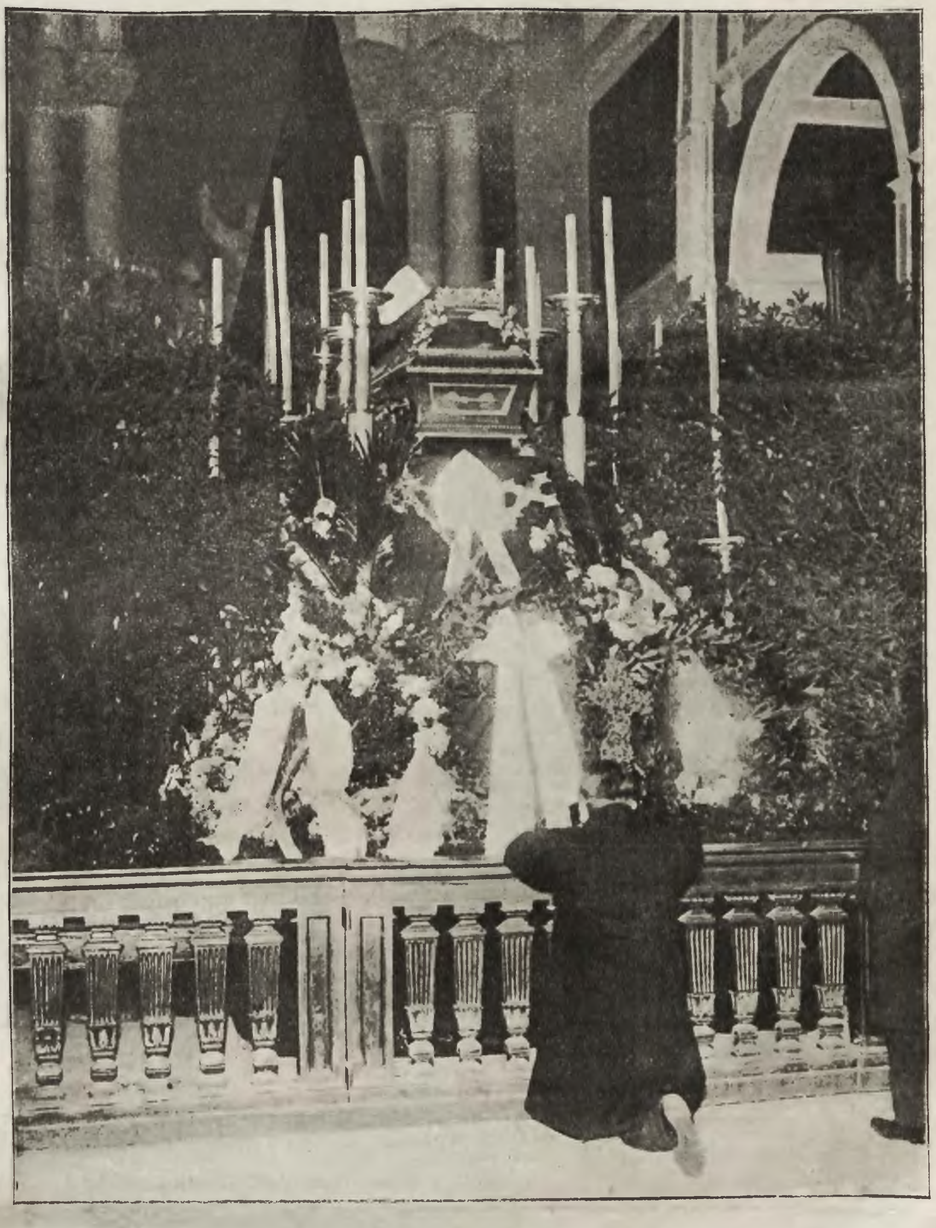
Dymisya admirała.

Niektóre dzienniki węgierskie twierdzą uporczywie, że zaraz po ukończeniu sesyi delegacyjnej poda się do dymisyi admirał marynarki austro-węgierskiej, hrabia Rudolf Montecuccoli. Admirał stoi na czele marynarki wojennej od r. 1904, kiedy po ustąpieniu Spanna został jej komendantem i szefem sekcyi marynarki we wspólnem ministerstwie wojny. Mimo lat 63, hrabia wygląda jeszcze młodzieńczo, dzięki elastycznej postaci pełnej sił i zdrowia. Od 1859 r. jest Montecuccoli rzeczywistym tajnym radcą cesarskim, a już od r. 1897 admirałem. Urodził się w Modenie jako syn oficera. Już jako kadet na statku „Fryderyk“ odbył kampanię przeciw Francyi. W 1866 w bitwie pod Lissą odznaczył się walecznością, za którą go udekorowano. Następnie zdobywając coraz wyższe stopnie marynarki wojskowej, odbył liczne podróże po dalekich morzach. Wreszcie został wiceadmirałem i admirałem, a dziś stoi na czele floty wojennej. Hrabia Montecuccoli jest ożeniony z baronówną Suttner.

Pogrzeb prymasa.

Uroczystości pogrzebowe w Poznaniu miały przebieg spokojny, mimo niejednej prowokacyi ze strony niemieckiej. Prasa hakatystyczna nie taiła swego niezadowolenia, że nad trumną ks. arcybiskupa Stablewskiego miano wygłosić tylko mowy polskie, rozpuszczono z tej strony nawet pogłoskę, że reprezentant rządu i cesarza, naczelny prezydent Waldow, zagroził, iż natychmiast opuści katedrę, jeśli z ust mówców żałobnych padnie chociaż jedno słowo przeciw rządowi. Pogłoska ta się nie sprawdziła, reprezentanci rządu, a było ich dużo w orszaku pogrzebowym, zachowali się dość grzecznie i przyzwoicie.

Według stwierdzenia gazet poznańskich, z 800 księży archidyecezyi gnieźnieńsko poznańskiej przybyło na pogrzeb około 500. Trumnę ze zwłokami prymasa niosło na barkach ośmiu księży. Po przeniesieniu jej do katedry, złożono ją w prezbiteryum na katafalku. Tam z kazalnicy uczcił pamięć zmarłego proboszcz katedralny ksiądz Michalski. Mowa



Pogrzeb Prymasa: W katedrze poznańskiej katafalk ze zwłokami śp. ks. arcybiskupa Floryana Stablewskiego.

jego wywarła potężne wrażenie. Krążyły wieści, że ze strony urzędowej „proszono“ go o największą wstrzemięźliwość. Zaznaczył też on na wstępie że niestety nie może wszystkiego wypowiedzieć co w tej chwili czuje, mimo to wypowiedział wszystko, co poruszało nietylko jego, lecz i słuchaczów dusze. „Zmarły arcybiskup — mówił znakomity ten kaznodzieja — od młodości był patryotą, młodzież patryotycznie wychowywał, w miłości do wiary ojców i matki Ojczyzny. Padł w walce, jak dojrzały kłos i pozostawił nas w smutku i niedoli. Czyste było serce zmarłego i pełne miłości do Kościoła i ludu, — do narodu i Ojczyzny. Za miliony cierpiał — miliony stoją nad jego zwłokami.“

Prasa hakatystyczna nie tai swego oburzenia, że polski mowca śmiał taką „narodowo polską“ mowę wygłosić wobec reprezentantów rządu.

Pogrzeb właściwy odbył się nazajutrz przy olbrzymim napływie publiczności. W dniu tym mowę na cześć zmarłego wygłosił ks. kanonik Dalbor. Uczcił on w niej zwłaszcza zasługi nieboszczyka w obronie polskiego ludu. — Po nabożeństwie uroczystem kapłani zanieśli trumnę do kaplicy Serca Jezusowego, gdzie włożono ją do grobowca.

Przedmiotem szczególnych owacyj ze strony ludności polskiej był ks. arcybiskup Teodorowicz ze Lwowa. Przyjęto go owacyjnie już na dworcu i witano wszędzie z zapałem Ks. Teodorowicz zamieszkał u księcia Zdzisława Czartoryskiego, gdzie odbyło się na jego cześć wielkie przyjęcie.



Pogrzeb Prymasa: Czoło pochodu żałobnego w Poznaniu w czasie przeniesienia zwłok śp. ks. arcybiskupa Floryana Stablewskiego.

Książę Badeński.

W Karlsruhe zmarł w tych dniach młodszy brat wielkiego księcia Fryderyka Badeńskiego, książę Karol, którego portrecik tu załączamy. Był to już człowiek stary, liczył bowiem w chwili skonu rok siedmdziesiąty piąty. W 1899 został książę Karol porucznikiem w wojsku badeńskiem, ale w trzy lata później wstąpił do służby w armii austryackiej. Podczas wojny z Francyą odznaczył

się pielęgnowaniem rannionych, o których dbał ze szczególną pieczołowitością; otrzymał za to specyalny order. W 1871 przeniósł się do armii pruskiej i odtąd w niej już pozostawał do końca życia.

Święty Mikołaj w Krakowie.

W tym roku wielkiej drożyzny, a więc ciężkich czasów, tradycyjny obchód św. Mikołaja nie wywołał tak ożywionego ruchu, jak w latach poprzednich w Krakowie. Gdy dawniej niektóre



Książe Badeński: Zmarły w Karlsruhe brat w. ks. Badeńskiego, 75-letni książe Karol.

sklepy w wilię św. Mikołaja bywały przepełnione, a ulicami spieszyły tysiące matek z zawiniątkami w ręku, to w tym roku zaledwie po kilka osób załatwiało te tradycyjne sprawunki przed wieczorem po sklepach, a na ulicach już wprost ruchu wzmożonego w tej porze nie znać nawet było. Dziatki w domach uboższych zwłaszcza spotykał przeważnie zawód, a wiadomo, jak wielkie nadzieje przywiązuje u nas dziatwa do tego wieczoru, i jak niecierpliwie oczekuje podarków dorocznych od św. Mikołaja z aniołami. Nawet wystawy sklepowe w tym roku w Krakowie nie wysilały się z okazyi Mikołaja. Niektóre tylko cukiernie, wystawiły tradycyjne figury piernikowe biskupa, anioła i dyabła. Mniejszy ruch niż w przeszłe lata był również na placu na Małym Rynku, gdzie w podarki dla swych pociech zaopatrywać się zwykła ludność uboższa: ot, było trochę jabłek pierników i... rózeg brzozowych dla niegrzecznych chłopców.

Stowarzyszenia krakowskie nie mogły jednak zaniechać tradycyjnego zwyczaju urządzania „święta dzieci“ w swoich lokalach ze względu na pociechy swych członków. Między innemi urządziło „św. Mikołaja“ akademickie koło Tow. Szkoły Ludowej, które wysłało nawet na miasto delegacyę z nieba. Św. Mikołaj, spodziewając się, że jako oczekiwany i pożądany przez dzieci gość, będzie przez rodziców życzliwie przyjęty ze względu na cele Towarzystwa, obszedł przez dwa wieczory liczne domy mieszkańców Krakowa z podarunkami i zabawkami dla milusińskich. A jak wyglądał biskup i jego towarzysze z nieba, zobaczą tu dzieci naszych Czytelników tych, do których w b. roku nie miał już czasu zjawić się z pełnemi rękoma, dajemy bowiem dziś fotografię naszą, przedstawiającą miłego gościa z asystą.

Prusak turecką ekscellencyą.

W 66 roku życia zmarł w Wiesbadenie Niemiec, który był wysokim dygnitarzem ottomańskim i ogromne położył zasługi dla Turcyi. Był nim cesarsko-ottomański podsekretarz stanu i rzeczywisty tajny radca sułtana tureckiego, Emil Bertram Efendi. Syn pruskiego urzędnika podatkowego, poszedł w ślady ojca i oddał się służbie urzędniczej w tej samej dziedzinie. Jako rezerwowy porucznik piechoty niemieckiej, odbył dwie wielkie kampanie w Czechach i we Francyi, odznaczając się w walnych bitwach niezwykłą walecznością. Powrócił do domu ranny parokrotnie. Kiedy Bismark wytyczył nowe drogi polityce handlowej, Bertram oddał wielkie usług jako rzeczoznawca przy układaniu traktatów autonomicznej taryfy cłowej. W r. 1880 udał się do Konstantynopola jako doradca generalnego dyrektora zarządu podatków tureckich, gdy pod wpływem mocarstw obudził się w Turcyi ruch w kierunku reform. Odtąd w dziedzinie podatków, ceł i traktatów handlowych rozwijał Bertram ogromnie pożyteczną dla państwa tureckiego działalność, stał się w tych sprawach powagą i wyrocznią, a zagraniczne mocarstwa ceniły wysoko jego świetne plany reformy finansowej, których większość po dziś dzień nie została jeszcze w czyn wprowadzoną. Obdarzony niezwykłem zaufaniem sułtana Abdul Hamida, został Bertram już w 1884 r. rzeczywistym tajnym radcą w randze „bali“ z tytułem ekscellencyi, poczem obejmował kolejno szereg wysokich urzędów państwowych w Turcyi, dla której położył niespożyte zasługi. Przez długi czas był wiceprezydentem rady zarządzającej kolejami w Anatolii. W 1899 został podsekretarzem stanu w ministerstwie skarbu. Miał zostać tureckim ministrem finansów, ale ze względów zdrowotnych — odezwały się w nim dawne rany z wojen — musiał opuścić Konstantynopol i otrzymawszy beztermінowy urlop od sułtana, powrócił do niemieckiej ojczyzny, gdzie zmarł świeżo w Wiesbadenie na chorobę raka. Ciało jego spalono w kilka dni po śmierci w krematoryum w Mainz w obecności jedynego syna, wysokiego urzędnika z Kolonii. Na naszej fotografii widzimy go w mundurze tureckim z piersią obsypaną najwyższymi orderami pruskimi, tureckimi, perskimi, rumuńskimi, serbskimi i włoskimi.

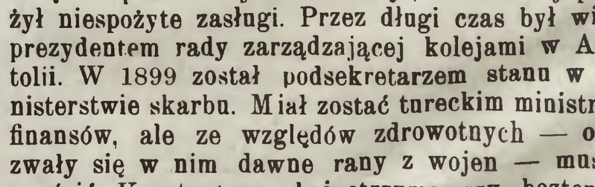


Prusak turecką ekscellencyą: Zmarły w Wiesbadenie Emil Bertram Efendi, niegdyś niemiecki urzędnik podatkowy i oficer pruski, a ostatnio sekretarz stanu w tureckiem ministerstwie finansów.



Fot. aparatem redakcyjnym „Now. Illustr“. W. Lis w Krakowie

Swięty Mikołaj w Krakowie: Tak wyglądał ze swą asystą św. Mikołaj, którego wysłało na miasto do domów patryotycznych obywateli akademickie koło Tow. Szkoły Ludowej w Krakowie, zbierające za podarki dla dzieci datki na cele oświaty.



TOMASZ COBB.

Tajemnicza zbrodnia

z angielskiego przełożył W. L.

10 Ciąg dalszy.

Obowiązkiem sędziów przysięgłych jest zebranie tych danych w jedną logiczną całość i przedstawienie sobie tej sprawy w sposób dokładny i przejrzysty. Co do powodu śmierci, sprawę wyświetlono zupełnie wyjaśnieniem doktora Browna. Derwent był za bardzo szanowany i lubiany, ażeby ktoś odważył się wyrządzić mu jakąś przykrość, tembardziej, że ceniony autor, nigdy nikomu nic złego nie zrobił. Świadkowie stwierdzili jednogłośnie, że zmarły, wyjąwszy Annę, nie miał żadnych nieprzyjaciół. Na razie brakuje wszelkich dowodów zbrodni, złoczyńca musi się jednak strzedz, gdyż sprawiedliwość nie spocznie, póki nie wyjaśni tej tajemniczej zagadki. Sprawa zaczyna się wikłać, zdaniem sędziego, bo chodzi teraz nie tylko o wykrycie zbrodniarza, mordercy pana Derwenta, lecz również o odnalezienie bezczelnego złoczyńcy, który, nie zważając na szkaradę czynu, jakiego się dopuścił, odważył się porwać zwłoki żony pana Derwenta, ukrywszy swoją ofiarę w trumnie małżonki zmarłego. Następnie zwrócił się przewodniczący w stronę sędziów przysięgłych i głosem podniosłym zapytał ich o zdanie. Przysięgli zgodzili się jednogłośnie, że na panu Derwencie dokonano najzwyklejszego mordu, mordercę należy ścigać.

ROZDZIAŁ XX.

Działalność inspektora Holta.

W parę godzin po zamknięciu rozprawy sądowej zgłosił się inspektor Holt do pałacu Arnolda. Arnold leżał w jadalnym pokoju na sofie, Holt usprawiedliwił natychmiast swe niespodziewane przybycie i rozpoczęła się dosyć ożywiona rozmowa. Młody Derwent zaczynał odzyskiwać zwolna swe siły, zdrowie poczęło się polepszać, dlatego zadowolony był nawet z wizyty Holta.

— Bardzo się cieszę — przemówił na wstępie Arnold — że pan do mnie zaglądnął. Adwokat Edwards co dopiero wyszedł odemnie. Żałuję, że nie mogłem być obecny na rozprawie, ale wobec ścisku, jaki z pewnością panował na sali i myśleć o tem nie mogłem. Czemże mogę panu służyć?

— Skoro pan nie ma nic przeciwko temu, chciałbym rozglądnąć się po pokoju Anny Thursday.

— Ależ proszę! Proszę!

— Znam zresztą dokładnie cały rozkład mieszkania, z wyjątkiem pokoju Anny, którego nie mogłem dotąd oglądnąć z powodu jej choroby.

Arnold podniósł się z sofy i udał się razem z inspektorem do pokoju zmarłej piastunki.

Holt zajrzał najpierw do obu szafek, przymocowanych na ścianie. Następnie przeglądał jak najdokładniej wszystkie szuflady i schowki, badając uważnie każdy przedmiot, który znalazł. Zbliżył się następnie do ściany i słowa nie mówiąc, uderzył parę razy laską o ścianę, jak gdyby się chciał przekonać, czy pokój Anny nie mieści poza którąś ze ścian jakiegoś tajemniczego schowka. Do każdej skrzynki zaglądał ciekawie wreszcie podniósł uroczyście dywan, badając długo i uważnie podłogę.

— Możnaby przypuścić — zawołał z uśmiechem Arnold — że szukasz pan tutaj mojej zmarłej ciotki!

— O ile słyszałem, zmarła Anna była ogromnie przywiązaną do swej pani? — zapytał inspektor, podnosząc się zwolna z ziemi.

— Gotowa była zawsze życie swe oddać za ciotką Alicyę — odpowiedział Arnold bez namysłu — tak było przynajmniej wtedy, gdy przyjeżdżałem do Rookfield na krótki czas. W ostatnim roku byłem tutaj bardzo rzadko. Byłem zagranicą.

— Słyszałem o tem! Przyjechałeś pan na okręcie Stirling Castle?

— O nie! Wylądowałem w Southampton na Raduorze — Stirling Castle zostawił mnie na Teneryfie — było mi to bardzo nie na rękę.

— Gdybyś pan był pozostał na pokładzie Stirlinga, byłbyś przyjechał do Anglii w ostatnich dniach lutego. Może mógłbyś jeszcze przeszkodzić zamordowaniu pańskiego stryja. W każdym razie myśl pochowania Anny w waszym familijnym grobie wcale była nie zła! Czy od pana wyszła?

— Wyszedłem z założenia, że niepotrzebnych wydatków należy możliwie unikać. Grób stał otworem, dlatego wydawało mi się czynem wprost nieludzkim, zakopać Annę w jakimś zwykłym dole.

— Całkiem naturalnie! W przeciwnym razie potrzebaby może paru lat, zanimby prawda wyszła wreszcie na jaw.

Holt zatrzymał się chwilkę, ażeby strzepać proch ze spodni.

— Thursday — powiedział po chwili — szczególne nazwisko... Czy Anna urodziła się w Anglii?

— Przypuszczam, że w Anglii — na pewne nie mogę powiedzieć, w żyłach jej płynęła podobno gorąca krew afrykańska.

— Pani swej była oddana całem sercem? — zapytał Holt badawczo.

— Była dzielną piastunką, kochałem ją całem sercem. Powiadają, że w ostatnich czasach zwłaszcza, stała się nieco szorstką w obejściu, przypisuję to jej chorobie, na którą zapadła wtedy właśnie. Skoro zależy panu, panie inspektorze, na dokładniejszem wyjaśnieniu tej sprawy, mogę posłużyć pewnemi wskazówkami.

— Czy panu nie zależy na wykryciu zbrodniarzy? — zapytał Holt, przypatrując się uważnie Arnoldowi.

— Ależ naturalnie! Jest to mojem gorącem życzeniem — odpowiedział Arnold bez namysłu — należę do tego rodzaju ludzi, co to zawsze we wszystko muszą wglądnąć, zbadać wszystko dokładnie. Dowiedziałem się wtedy o czemś, co zdaniem mojem, przyniesie panu nie małą korzyść. Chercher la femme! Myślę o kobiecie w sąsiednim pałacu!

— Czy tam mieszka jaka kobieta?

— Na to przysięgnę!

— Byle nie zawcześnie! Mówiłem o tem z panem doktorem Viretem. Dowiedziałem się tylko, że to wszystko powstało w wyobraźni tej Lizy Mogford. Liza miała spotkać tę czarno ubraną osobę.

— Gęsto zawoalowaną przytem.

— Z krzykiem uciekła, nie zbadawszy przedtem zjawiska. Sama nie jest tego pewna. Lecz dajmy już temu pokój. Zastanówmy się raczej nad złodziejem, który wtargnął tej nocy do pałacu Askewa. To daleko ważniejsza osobistość! Zatrzymuję pana tak długo, pozwól pan jeszcze, że przypatrzę się dokładnie trumnie, zanim odejdę.

Szedł chwilę za Arnoldem korytarzem, w końcu stanęli przed trumną w pokoju Derwenta.

— Cadman opowiadał mi niedawno — dodał Holt — że zegarek zmarłego znajduje się w bocznej kieszeni. Miał racyę, oto jest! Stryj pański nie nosił podobno łańcuszka.

— Nie!

— Holt badał dokładnie trumnę, jak gdyby starał się odgadnąć, w jaki sposób mógł zdjąć złoczyńca wieko.

— Czy zna się pan choć trochę na stolarstwie? zapytał wreszcie, zwróciwszy się w stronę Arnolda.

— Jako chłopiec, zajmowałem się tem trochę. Dlaczego pyta mnie pan o to?

— Skoro pociągniesz pan palcem po brzegu trumny, spostrzeżesz niebawem, że brzegi tak gładkie, jak gdyby co dopiero wyszły z warsztatu stolarskiego.

— Dlaczego zastanawia to pana?

— Zbrodniarz był mistrzem w swoim rodzaju, ani śladu gwałtownego otwierania trumny. Im zręczniejszy złoczyńca, tem widoczniejsze są jego ślady. Mówię to z doświadczenia. Zbrodniarz, z którym właśnie mamy do czynienia, zabrał się do rzeczy ostrożnie i powoli. Wskoczył do grobu, usunąwszy poprzednio deski i przy pomocy dłutka powyjmował spokojnie śruby. Potem wyszedł z grobu, położył się na ziemi, i wyciągnąwszy rękę tak daleko, aby mógł dostać wieka...

— Przestań pan! — zawołał Arnold z widocznym przestrachem — słabnę! Szybko zbiegł na dół po schodach, poprosiwszy, aby Holt zamknął trumnę niezwłocznie.

— Przypuszczam, że pozostanie pan teraz w Rookfield? -- zapytał Holt, przyszedłszy do pokoju Arnolda po pozostawiony kapelusz.

— Zależy to od wielu okoliczności, panie inspektorze. Pan wybaczy, że zachowałem się tak dziwnie, jestem jednak nieco słaby, do tego jeszcze pański opis tego ohydnego czynu...

— Bardzo dokładny — nieprawda? — panie Arnoldzie? — zapytał dobrodusznie inspektor. — Spodziewam się, że pan niebawem przyjdzie do siebie — do widzenia na razie!

Skoro inspektor znalazł się na ulicy, zatarł ręce z zadowolenia. Szybko zwrócił się w stronę pałacyku doktora, gdzie go oczekiwano już dawno.

Panna Derwent wyglądała strasznie pod wpływem ostatnich wiadomości. Twarzyczka jej rozjaśniła się jednak na chwilę, skoro ujrzała przed sobą dzielnego inspektora.

Gdyby tylko udało się Holtowi wyjaśnić nową zagadkę, gdyby mogła spojrzeć w twarz niegodziwego złoczyńcy, który śmiał wykraść z grobu jej matkę!

— Bałam się, że odjedzie pan do Londynu, nie pomówiwszy wpierw z nami — odpowiedziała na powitanie, podając rękę Holtowi. A tak chciałam z panem porozmawiać o tem. Panie inspektorze, pan odkryje zbrodniarzy — nieprawda? Pan popracuje nad tem, jestem tego pewna!

— Co w mojej mocy, to spełnię niezawodnie — odparł inspektor, przejęty jej serdecznością — więcej nie mogę obiecać. Stoimy przed zagadką wysoce zawikłaną i niejasną! Po raz pierwszy słyszę o czemś podobnem! Spodziewam się jednak, że zbrodniarzy uda mi się wytropić.

— Niech pan odnajdzie zwłoki mej matki! — zawołała Flora z boleścią — pan wie, jak ja cierpię!

Doktor Viret usadowił ją prawie siłą na krześle i patrzał przez chwilę na jej oblicze, nacechowane niemą boleścią.

— Czy mogę panią prosić o parę wyjaśnień? — przerwał milczenie Holt. — Spodziewam się rozwiązać tę drugą zagadkę. Nie, żebym sądził, że morderca pana Derwenta jest identycznym ze zbrodniarzem, który skradł zwłoki matki pani — ktoś musiał trumnę otworzyć.

— W jakim celu popełniono tę zbrodnię? Przecież złoczyńca nie odniósł najmniejszej korzyści.

— W tym wypadku nie myślał o rabunku — to pewne! Znaleziono przy zmarłym zegarek, stanął o trzeciej godzinie minut 45.

— Co pan myśli o tem wszystkiem? — zapytał doktor Viret z widoczną ciekawością.

— Nie wpadłem jeszcze na trop — to prawda — ale jestem już blisko tego. Pozwoli pan, że zapytam: Anna Thursday była murzynką? Czy tak?

— Broń Panie Boże! — zawołał Viret stanowczo. Jej prababka może, ona stanowczo nie!

— W każdym razie osobą bardzo gorącą, a przedewszystkiem była niezwykle matce pani oddana, panno Floro.

— Była rzeczywiście bardzo przywiązaną!

— Czy pozwolono jej zobaczyć jej panią po śmierci?

— Tak jest! Lecz od trzech tygodni nie wstawała z łóżka..

— Była dzielną kobietą, ale marną piastunką — objaśnił Viret.

— Gdy Anna stanęła przy zmarłej matce — opowiadała dalej panna Flora — rzuciła się ku jej zwłokom, i zanim mogłam temu zapobiedz, pocałowała kilkakrotnie bladą twarz zmarłej, zraszając ją obficie rzęsistemi łzami. Skakała koło niej, klaszcząc wciąż w dłonie, jak gdyby miała przed sobą nie martwe zwłoki, ale dziecko nieletnie, powierzone jej opiece. Musiałam pobiedz po drugą służącą i dopiero we dwójkę zdołałyśmy ją odciągnąć od matki.

— Przedstawiam sobie najzupełniej wylew jej uczuć — odpowiedział inspektor Holt — chciała uczcić jej zwłoki.

— Wprost wyobrazić sobie trudno, jak szalenie pokochała matkę. Stała poprostu na progu, starając się co chwila dostać do wnętrza.

— Czy wpuszczono ją potem?

— Nie pozwoliłam na to. Wprawdzie przykro mi było patrzeć na jej łzy i narzekanie, mimo to jednak nie mogłam pozwolić na coś podobnego, gdyż zachowanie Anny obrażało poprostu moją zmarłą matkę.

W pokoju panowała zupełna cisza. Inspektor Holt zamyślił się głęboko, nie zdradzając swych planów, gdyż i tak byłoby rzeczą conajmniej wątpliwą, czyby Flora uwierzyła jego słowom, że Thursday winną jest zbrodni.

— Mam do pani mały żal, panno Floro — odezwał się pierwszy inspektor — obiecała mi pani donieść o najmniejszym wypadku, a nie wspomniała pani zupełnie o powrocie Arnolda.

Flora zdziwiła się niezmiernie.

— Nie widzę żadnego związku między Arnoldem a tragiczną śmiercią mego ojca lub zniknięciem mej matki!

— Przeciwnie, panno Floro! — odpowiedział spokojnie inspektor. — Arnold jest jedyną osobą, której zależało na śmierci ojca pani. Sam zresztą przyznaje, że wylądował w Anglii cztery dni przed tragicznym wypadkiem!

— Okręt ten opuścił na Teneryfie!

— Kiedy wspomniał pani o tem?

— Było to zaraz na samym początku. Przecież pan nie posądza go chyba...

— Już przedtem zwróciłem uwagę pani, jak łatwo może powstać podobne podejrzenie — odparł doktor Viret — dodałem jednakowoż natychmiast, że zarzut ten zupełnie pozbawiony podstawy — ja sam w to nie wierzę.

— Arnold starał się o wyjaśnienie tajemnicy z taką energią! — dodała panna Derwent — zdecydowany był nawet na wszystko, nie miał żadnej tamy, nie znał żadnych przeszkód.

— Nie żądza prawdy i ukarania morderców parły go do tego, panno Floro. Chodziło o dowody śmierci. Czyż pani może zaprzeczyć, że wyjaśnienie zagadki doszło do skutku jedynie i wyłącznie za sprawą Arnolda? Wszak Arnold uparł się pochować Annę w grobie familijnym! Lecz czas już na mnie, ostatni pociąg odchodzi za parę minut!

Powstał i żegnając się z nimi, dodał:

— Za parę dni dowiecie się czegoś więcej!

ROZDZIAŁ XXI.

Odkrycie Józefa Bodgera.

Mało ludzi myśli o swojej przeszłości bez żalu, do pewnego stopnia przynajmniej. Jeśli bolesne to uczucie spotęguje się do rozpaczy, wpływa morderczo na ducha i ciało.

Bodger czynił sobie wyrzuty, powracając po rozprawie sądowej do domu.

Dlaczego nie wystąpił śmiało z odkryciem wobec inspektora Holta? Kto wie? A może otrzymałby wyznaczoną nagrodę? Był jednak za bojaźliwy! Miał klucz do rozwiązania tej zagadki, jednem jedynem słowem mógł śledztwo na nowe pchnąć tory — czuł się jednak za słaby, miał ręce związane, nie miał siły zażądać 1000 funtów szterlingów. Bał się Holta. Bodger zmienił się znacznie w ciągu pobytu pana Fairforda, lecz Holt znany był z niezwykłej pamięci. Co będzie, jeśli pozna w Bodgerze starego, wytrawnego zbrodniarza?

Tymczasem całą swoją uwagę skierował na Owena. Bacznie obserwował go podczas pogrzebu Derwenta, i chociaż sądził, że karty ma wcale nie złe, wahał się jeszcze z wystąpieniem, nie znając dokładnie tajemnicy, której pilnował Fairford. Na pozyskaniu wyznaczonej nagrody zależało Bodgerowi, dlatego czujny był zawsze i nie omieszkał skorzystać z najdrobniejszej sposobności, która mogła odsłonić tajemnicę. Badania tajemniczej osoby, spacerującej nocami, nie przyniosły mu najmniejszej korzyści, dlatego starał się zwrócić uwagę więcej na wnętrze domu Fairforda.

W piątek i w sobotę nikt nie wychodził z domu. Dopiero późno wieczór w sobotę, gdy Sara była w kościele, a pani Cawdrey rozczytywała się w Piśmie świętem, rzucając od czasu do czasu spojrzenie nienawiści w stronę próżnującego Bodgera, posłyszeli nagle głośny krzyk Owena, a pani Cawdrey zamknęła czemprędzej książkę i szybko pobiegła na górę. Józef pospieszył za nią niezwłocznie, spostrzegł jednakowoż tylko, jak Cawdrey biegła na górę po schodach.

Zaledwie zamknęła drzwi, prowadzące do tajemniczego gmachu, gdy Józef poskoczył za nią i położywszy się plackiem na ziemi, począł nasłuchiwać uważnie. Słyszał wyraźnie głos Owena i pani Cawdrey — słów nie mógł jednak rozróżnić.

Nagle posłyszał Bodger kroki na korytarzu i nie namyślając się długo, zbiegł czemprędzej po schodach. Sara wróciła właśnie z kościoła.

— Msza jakoś długo dziś trwała — zagadnął Sarę, uśmiechając się do niej.

W tej chwili otworzyły się drzwi i po schodach zbiegł szybko Owen. Twarz jego była trupioblada, nosiła ślady głębokiego wzruszenia. Zamknął się w pokoju jadalnym i biegał po nim nerwowo. Po upływie kwadransa udał się znowu na górę. Bodger posłyszał głos pani Cawdrey. Tym razem nie prosiła już, głos jej był groźny i rozkazujący. Lecz i teraz nie mógł zrozumieć Bodger, o co jej właściwie chodzi.

Koło wpół do 11 zeszedł Owen i wziąwszy swą czapkę, znikł wkrótce w panującej ciemności. Za nim wysunął się cichaczem i Bodger. Noc była ciemna i ponura, na niebie nie widać było ani jednej gwiazdki, księżyc skrył się gdzieś za chmurami, choć za godzinę prawie miała być północ.

Owen szedł śmiało drogą wioskową. Bodger słyszał bicie własnego serca, lecz nie wahał się iść krok w krok za chlebodawcą, gdyż głos wewnętrzny mówił mu, że teraz nadeszła długo oczekiwana pora. Bo przecież musiało zajść coś niezwykle ważnego, skoro Owen wybiegł tak szybko z pałacu, zapomniawszy o wszelkiej ostrożności.

Bodger posunął się do bezczelności — nie zważał na to, że Owen może łatwo posłyszeć jego kroki, a wtedy wszystko stracone — szedł prawie tuż za nim i tylko dzięki niezwykłemu zdenerwowaniu Fairforda, mógł liczyć na pomyślny wynik wycieczki. Fairford szedł szybko naprzód, zajęty swemi myślami. Przed cmentarzem zatrzymał się



— A gdybyśmy pomówili jeszcze o pańskiem zachowaniu — niespodziewanie zapytał Józef Fairforda.

chwilkę, rozglądnął się dokładnie, otworzył drzwiczki i szybko przeszedł, jak gdyby para go jakaś myśl niecierpiąca zwłoki. Jakżeż zdziwił się Bodger, gdy Fairford stanął nagle przed domem doktora. Po raz pierwszy zaglądnął do niego. — Bodger śledził nocami Owena, towarzyszył mu niepostrzeżenie we wszystkich jego wycieczkach, Fairford nigdy nie odwiedzał doktora.

Co mogło sprowadzać Owena do Vireta? Klnąc na czem świat stoi, musiał się Bodger zatrzymać przy wejściu do ogrodu. Nie bał się nikogo na świecie, ale każdy ma przecie achillesową piętę! Bodger drżał na widok dzielnego Tygrysa, skoro ten zbliżył się tylko do niego na parę kroków, warcząc nieprzyjacielsko. Według wszelkiego prawdopodobieństwa, psa spuszczono z łańcucha. Wahęsał się pewnie po ogrodzie, dlatego Bodger wolał raczej zdala od niego pozostać, poza granicami jego państwa, nie chcąc narażać się na nieprzyjemne skutki możliwego spotkania.

Koło godziny dziesiątej tego samego wieczora, pożegnała się panna Flora z Viretem. Wzięła jakąś książkę ze sobą, lecz myśli odlatywały od niej, nie mogła ich zebrać. Za bardzo była zajęta inspektorem Holtem, jego dwuznacznem wyjaśnieniem zagadki.

W sobotę złożył Arnold wizytę Viretowi, doznał jednak tak zimnego przyjęcia, że niezadowolony w najwyższym stopniu czemprędzej powrócił do siebie.

W sercu Flory zaczęło kiełkować podejrzenie; zastanawiała się głęboko nad słowami inspektora, przyznając mu zresztą dużo racyi. Nie mogła zgodzić się na to, aby Arnold był winowajcą, przypuszczała na pewne, iż Holt nie spocznie, póki nie wyjaśni tej sprawy — zasięgnie dokładnych wiadomości co do powrotu Arnolda.

Może podejrzenie, rzucone przez inspektora, nie znalazłoby przystępu do serca panny Flory, gdyby postępowanie Arnolda było inne — nie tak bezwzględne i bez serca. Od tej chwili zgadzała się na wszystko, boć przecie Arnold starał się tylko o prawne pozyskanie majątku jej ojca. Nawet w chwili, gdy przyniesiono wiadomość o odnalezieniu zwłok zmarłego Derwenta, nawet wtedy, gdy boleść jej doszła do zenitu — Arnold zacierał ręce z radości — wszak widział spełnione swe marzenia, nie patrząc na jej rozpacz i nieszczęście. Wszak Arnold chciał Annę pochować w grobie familijnym. Gdyby nie jego plany, musieliby czekać może długo jeszcze na ostateczne wyjaśnienie zniknięcia jej ojca. Holt pozwolił sobie na ironiczny przytyk, Flora rozumiała go dokładnie.

Holt twierdził stanowczo, że oba wypadki należy oddzielić od siebie. Czyżby miały one jakiś związek z Anną i z Arnoldem. Trudno przypuścić poprostu, aby noc tragiczna miała ich związać ze sobą i popchnąć do tajemniczych zbrodni. A jeśli jednak sprawdzą się podejrzenia Holta?

Jeśli Arnold stanie przed nią, przed sądem oskarżony o zabójstwo rodzonego stryja?!

Pragnęła z serca rychłego powrotu Holta, spodziewając się prawie na pewne dowiedzieć, że Arnold przyjechał w parę dni do Anglii po popełnieniu morderstwa.

Jedna myśl tylko dodawała jej otuchy. Holt słowem nie wspomniał o Fairfordzie. Znał dokładnie tę historyę, gdyż słyszał ją przecież po raz dziesiąty może, a jednak nie przywiązywał do niej wielkiej wagi. Chociaż życie Fairforda było znów bardzo tajemnicze i niejasne! Sam się tak wyraził! Sam wyznał jej przecie swe współczucie, jakiem obdarza go Flora, jest dla niego prawdziwą łaską, jedyną pociechą w jego okropnem nieszczęściu.

Ktoś pociągnął silnie za dzwonek. Doktor Viret nie oddawał się wprawdzie praktyce, proszono go mimo to dość często w nagłych zwłaszcza wypadkach. Posłyszała głośne ujadanie Tygrysa, głos Vireta, i wkrótce stanął doktor na progu: „Pan Fairford“ — zawołał doktor zdumiony.

— Proszę o chwilkę rozmowy!

Panna Flora rozeznała natychmiast głos Owena. Słyszała jak obaj mężczyźni weszli do pokoju, rozmawiając dość długo ze sobą.

Po upływie kwadransa może rozległy się ich kroki, a skoro Flora podniosła nieco storę, spostrzegła natychmiast dwie dobrze znane postacie, które szybko znikły na skręcie drogi

Bodger stał tymczasem zdala od domu, nadsłuchując uważnie, — wtem posłyszał głos Fairforda, obok niego szedł doktor Viret. Owen mówił szybko, idąc w stronę swego pałacu. Doktor miał grubą laskę pod pachą, płaszcz rozpięty i zarzucony niedbale na ramiona mimo zimna, jakie dawało się dotkliwie we znaki. Słuchał uważnie wywodów Owena. Wierny Tygrys wlókł się zwolna za panem, dlatego Bodger nie śmiał się zbliżyć — trzymał się w należytej ostrożności. Stanąwszy przed bramą domu Fairforda, dał Viret krótki rozkaz Tygrysowi, poczem posłuszne zwierzę położyło się natychmiast przy bramie.

(Ciąg dalszy nastąpi).